

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia, cz. IV

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/1, 67-95

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

Publikujemy kolejną, czwartą część *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka, obejmującą dalszy ciąg okresu lwowskiego, najpierw w „Lwowskim Kurierze Porannym” (1928—1929), a następnie w „Kurierze Lwowskim” (1930—1934). Poprzednie części objęły okres krakowski (1920—1925) i okres śląski (1925—1926) oraz początek okresu lwowskiego w „Słowie Polskim” (1926—1928).

W codziennym przeglądzie prasy na łamach „Lwowskiego Kuriera Porannego” rozwijałem gwałtowną i nieustanną krytykę obozu rządzącego, szczególną uwagę poświęcając „Słowu Polskiemu” w jego nowej postaci. Publikowałem również artykuły. W jednym z nich pisałem: „10 lat przeszło bytu państwowego Polski — jakkolwiek będziemy ich historię usprawiedliwiali — przyniosło nam więcej rozczarowania niż radości. Nie z pesymizmu płyną te słowa. Nie trzeba być pesymistą, aby to wszystko, na co patrzymy, uznać za raczej ujemny, niż dodatni, wynik”. Kiedy indziej w tym czasie pisałem również: „Uczyliśmy się z romantyzmu sztuki umiერania za Polskę i ginęliśmy za nią — ileż razy niepotrzebnie. Łączność nasza z romantyzmem nagle zginęła, gdy przyszło uczyć się życia dla Polski. Wytworzenie jednolitego poczucia i ducha realizmu w życiu publicznym i państwowym staje się jednym z kategorycznych imperatywów naszej przyszłości”.

Cenzura podejmowała wszystkie wysiłki, aby utrudnić nam życie. W niektórych numerach uchwały sądu zatwierdzające konfiskaty obejmowały ponad jedną stronę druku petitem. Bywało tych konfiskat i uchwał w jednym dniu od kilku do dziesięciu. Ale wzmagало to jedynie zapał i upór w redakcji, a wśród społeczeństwa rosła poczytność pisma, które w ten sposób zaczęło zwracać na siebie coraz powszechniejszą uwagę.

Pewnego razu doszło do starcia, które postanowiłem doprowadzić do absurdu. Nie pamiętam już dobrze, o jaką chodziło wiadomość, ale opublikowane przez nas nadzwyczajne wydanie uległo znowu konfiskacie. Wobec tego, zgodnie z prawem, wydaliśmy następne z białą plamą po skonfiskowanym fragmencie. Cenzura skonfiskowała nakład po raz drugi. Wobec tego wydaliśmy kolejno dalsze nakłady, z których każdy był konfiskowany, z coraz to nowymi plamami po konfiskowanych ustępach.

W końcu został tylko tytuł pisma z napisami informującymi o naszym adresie. Podjąłem wówczas dalszy krok i wydałem nakład z pustą stroną i tylko z tytułem, przekazując pismo w tej postaci do kolportażu przez chłopców. Ten nakład miał niebywale powodzenie i cenzor zwrócił się wtedy z prośbą, aby zaniechać dalszej walki. Zgodził się także na wydanie nakładu z ograniczonym tekstem, który nie naruszał istotnej treści naszej informacji. W ten sposób złamałem tym razem presję cenzury, wykazując, że wojna z nami nie jest łatwa. Cenzorem był wówczas młody urzędnik starostwa grodzkiego, Feder, z którym poza tym utrzymywaliśmy nawet nie najgorsze stosunki. W kilka lat później Feder popełnił samobójstwo, z nie znanych mi zresztą przyczyn [...]

Chociaż szersze koła endecji nowego pisma nie zwalczały, to jednak w pierwszym okresie trzymały się od niego raczej z daleka. Trudno było im się nawet dziwić. Po „Słowie Polskim” z jego świetną, przodującą opinią i tradycją, karykatura pisma, jaką na razie stanowił „Lwowski Kurier Poranny” we wstępnym okresie, zdawała się być wątpliwym nabytkiem. Budowaliśmy to pismo wtedy ze Świrskim samodzielnie i z największym uporem.

Redakcję uzupełniono po dłuższym okresie nowymi współpracownikami. Jednym z nich był Tadeusz Bronisław Ulanowski, który zaczynał u nas swoją karierę. Pochodził z Borysławia, odznaczał się dużym zmysłem dziennikarskim i wkrótce stał się bardzo przydatny. Jego brat był zecerem i później z nami współpracował. Ulanowski przez długie lata pisał cotygodniowy felieton p. *Hocki-klocki*, poświęcony ujemnym stronom i zjawiskom rządów sanacyjnych. Felieton był oparty na wypowiedziach Piłsudskiego i innych czołowych, a także pomniejszych osobistości rządowych i polegał na ośmieszaniu i ironizowaniu systemu. Cenzura wielokrotnie próbowała ograniczyć tę felietonową działalność naszego kolegi, ale w końcu kapitulowała i Ulanowski ze względnie znaczną swobodą kontynuował ten rodzaj swojej publicystyki. Był cennym i lubianym współpracownikiem i kolegą, wyróżniającym się dużym poczuciem humoru i zjadliwej złośliwości. To on właśnie psa redakcyjnego, który towarzyszył nam przy pracy, nazwał „Prystorem” od nazwiska premiera sanacyjnego. Ulanowski prowadził również „błękitną księgę redakcyjną”, w której wpisywano, nalepiano i rysowano różne fragmenty związane z kroniką redakcji, ujmowane satyrycznie: księga znajdowała się stale pod kluczem i była dostępna tylko dla członków redakcji, ponieważ zawierała niezliczoną ilość bezlitosnych uszczypliwości pod adresem największych autorytetów partii i wydawnictwa. Nie brakowało oczywiście satyry i na poszczególnych członków redakcji, ale zachowaliśmy zawsze dostateczną dozę poczucia humoru, aby wspólnie śmiać się z pomysłów Ulanowskiego.

Innym corocznym pomysłem Ulanowskiego był numer prima-aprilisowy, wydawany niezależnie od normalnego i przeznaczony tylko do wewnętrznego użytku redakcji i wydawnictwa. Zecerzy i maszynista wykonywali go bezinteresownie, biorąc w ten sposób czynny udział w tej imprezie, absorbującej nas już od kilku tygodni przedtem. Numery te były zawsze znakomite i doreczało się je do domów naszym „bonzom” wydawniczym zamiast numeru normalnego, co powodowało telefony, interwencje i różnego rodzaju scysje, które stanowiły główny, oczekiwany przez nas z upragnieniem efekt tego żartu. Ulanowski był zawsze w tym dniu głównym bohaterem w redakcji.

Kiedy w lipcu 1929 r. samolot polski naznaczony nazwiskiem Piłsudskiego, lecąc przez Atlantyk w stronę kontynentu amerykańskiego, uległ — niestety — katastrofie, Ulanowski umieszczając wiadomość o tym tragicznym wypadku, dał jej tytuł: „*Marszałek Piłsudski*” *zniszczony — katastrofa „Marszałka Piłsudskiego”*. Nie cofał się w walce z sanacją i Piłsudskim przed makabrycznym chwytem nawet przy takiej dramatycznej okazji.

Z czasem wpadł jednak w przykry nałóg, ograniczający jego odpowiedzialność w pracy. Ceniłem go za jego niewątpliwe uzdolnienia zawodowe, ale byłem bezsilny wobec niepoprawnych skłonności młodszego kolegi. Nadużywał alkoholu do nieprzytomności, pełniąc obowiązki redaktora nocnego, i zdarzało się, że musiałem w nocy przychodzić do redakcji, aby kończyć za niego numer. Bronilem mimo to Ulanowskiego do chwili mego odejścia z pisma. Zachowałem o nim dobrą pamięć, chociaż raczej zmarnował swoje życie; był człowiekiem zdolnym i inteligentnym, co wśród różnych zalet i wad ludzkich zawsze uważałem za najważniejszy przymiot każdego współpracownika i każdego człowieka. Obawiałem się natomiast zawsze ludzi tzw. porządných i nienagannyh, ale ograniczonych. Zgodna współpraca i rozsądne porozumienie z nimi przerastały zwykle możliwości ich wyobraźni.

Jednym ze szczególnie wartościowych współpracowników stał się Władysław Pańczak, wówczas jeszcze bardzo młody, zdolny i ambitny polonista, nie wykazujący szczególnych namiętności politycznych, chociaż ściśle związany z naszym ruchem. Okazał się solidnym, cennym dziennikarzem, któremu wkrótce powierzono obowiązki redaktora nocnego na zmianę z Ulanowskim. Wykonywał swoją pracę z ogromną dokładnością i niezawodnością. Z czasem pisywał artykuły na tematy literackie. Był w pełnym tego słowa znaczeniu wzorowym pracownikiem, chociaż nie odznaczał się wtedy szczególnym rozmachem. W okresie secesji z partii w r. 1934 został sekretarzem redakcji i odgrywał znaczną rolę zarówno w „Kurierze”, jak w późniejszym „Słowie Narodowym”. W czasie wojny był czynny w podziemiu, a po wojnie objął redakcję naczelną emigracyjnego ty-

godnika „Ostatnie Wiadomości” w Mannheim koło Stuttgartu, gdzie rozwinął w pełni swój wybitny, dziennikarski talent. Pismo przez niego wtedy redagowane i inicjatywa społeczno-kulturalna, jaką Pańczak (Ax) w tym czasie rozwinął, należały do pozytywnych osiągnięć emigracji. Spotkałem go wtedy w Niemczech i pomimo bardzo poważnych i ostrych konfliktów, jakie dzieliły nas w latach bezpośrednio przedwojennych, nawiązaliśmy na nowo serdeczne węzły przyjaźni. Pańczak wyzuty był wówczas całkowicie z wszelkich krańcowości, dojrzał i reprezentował umiar i rozsądek w sprawach politycznych, jak w ogóle ludzkich. Niestety przedwcześnie zmarł, znękany pobytem w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Innym zaangażowanym w tym czasie współpracownikiem był Bronisław Zduńczyk, urodzony i typowy lwowianin, używający wydatnie charakterystycznego akcentu lwowskiego, młodzieniec wyjątkowo dużego wzrostu, zdolny i obrotny dziennikarz, który w późniejszych latach stał się jednym z najruchliwszych lwowskich reporterów, pracując już w innym dzienniku, bo w „Gońcu Wieczornym”, wydawanym przez Zygmunta Halbera. Zduńczyk rozpoczął swoją karierę dziennikarską w „Słowie Polskim” w okresie Mejbauma.

Jeszcze jednym adeptem był Józef Radzymiński, bardzo ambitny i równie zdolny dziennikarz, którego z początku niesłusznie lekceważyliśmy. Radzymiński w latach późniejszych wyróżnił się jako współredaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w roli korespondenta bodaj na Łotwie, a w czasie II wojny w tajemniczych okolicznościach zginął z rąk hitlerowskich, pełniąc funkcję łącznika czynników emigracyjnych z krajem. Pamiętam jeden z zabawnych incydentów, którego bohaterem był właśnie Radzymiński jeszcze jako początkujący nasz kolega redakcyjny. Obok pasji dziennikarskiej posiadał on również zainteresowania sportowe. Rzeczywistym motywem jego ruchliwości była nieposkromiona ambicja zabłyśnięcia na szerszym horyzoncie wszelkimi sposobami. Odbływały się wówczas jakieś doroczne zawody motocyklistów w Zakopanem i Radzymiński postanowił wziąć w nich udział. Jakież było nasze zdumienie, gdyśmy wyczytali, że nasz Józef Radzymiński w jakiejś klasie zdobył na tych zawodach pierwszą nagrodę. Po bliższym wyjaśnieniu okazało się jednak, że była to klasa ostatnia, w której nasz bohater był jedynym zawodnikiem i nie mając konkurencji, osiągnął swój sukces. Przez długie lata zwycięstwo zakopiańskie było wśród nas tematem bezustannych żartów z Radzymińskiego.

W nieco późniejszym okresie przybył do redakcji Józef Kanarowski, silny brunet o twarzy przypominającej Mefistę. Pochodził z Brodów, a w tym czasie był współpracownikiem toruńskiego „Słowa Pomorskiego”. Pewnego dnia Kanarowski zjawił się we Lwowie, zawiadamiając pouf-

nie, że jest ścigany przez policję i prosi o azyl. Uzyskał natychmiast zajęcie i ochronę, ale okazało się, że powody ucieczki naszego kolegi z Torunia były zupełnie prozaiczne, a nie polityczne, i że w grę wchodziły kobiety, a nie przestępstwa polityczne. Kanarowski został jednak we Lwowie na stałe i był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci naszego zespołu. Należał do typu tzw. besserwisserów, uważając się za najlepiej poinformowanego i ustosunkowanego człowieka partii. Był oczywiście przeciwnikiem młodych, sam będąc już w średnim wieku. Należał do ruchliwych i pomysłowych dziennikarzy, ale był pozbawiony gruntowniejszej wiedzy, co często prowadziło do spływania i niekompetencji jego publicystyki i różnych oświetleń, szczególnie w dziedzinie gospodarczej, która go zajmowała. Wskutek cech swego skomplikowanego charakteru był trudny w pożyciu i popadał często w różne konflikty z kolegami. W rzeczywistości reprezentował typ człowieka wykołowanego, z tragicznym, wewnętrznym rozdarciem i skłonnością do bluffu. Potrafił być równie czarujący, jak przykry i niebezpieczny. Lubiliśmy go między innymi za to, że w sposób zachwycający potrafił gwizdać różne arie. Pozbawiony życia rodzinnego, szukał różnych innych rozwiązań osobistego problemu, nigdy nie znajdując zadowolenia. W późniejszym okresie odszedł od dziennikarstwa i straciłem go z oczu. Zginął po wybuchu II wojny we Lwowie.

Do współpracowników naszych należał również Kazimierz Rychłowski, tłumacz i literat mniejszego kalibru, utrzymujący się ze współpracy w prasie. Był człowiekiem trudnym, zaniedbanym, żyjącym w niełatwych warunkach. W tym czasie zaliczał się już do starszego pokolenia, ale potrafił jakoś współżyć z naszą młodą redakcją.

Korektorami byli Marian Ostrowski i Alojzy Stamper, szef naszej tajnej, młodzieżowej organizacji, który w redakcji zajmował jednak pozycję podrzędną i nie odgrywał w niej żadnej roli. Młodszy współpracownicy, nie należący do organizacji poufnej i nie orientujący się w roli Stampera, traktowali go lekceważąco i sprawiali mu różne drobne przykrości. Wynikało to m. in. z tego powodu, że korektorzy nasi w późniejszej redakcji przy ul. Mochnackiego nie wykonywali pracy w pokoju redakcyjnym, ale mieli specjalnie wybudowaną drewnianą budkę przy schodach i tam ukryci pracowali w izolacji. Budkę tę nazywaliśmy „buda” i kiedy Stamper pokazywał się w redakcji, młodszy krzyczeli chóralnie: „Alojzy do budy”. Ostrowski przeszedł później do redakcji, a w r. 1939 pracował we lwowskiej PAT.

Później do redakcji wszedł Stanisław Starzewski jako sekretarz redakcji; współpracował z nami również z dawnego „Słowa Polskiego” Aleksander Medyński. Dział sportowy prowadził Marian Kobiak, wychowanek prof. Rudolfa Wacka. Zespół w zdecydowanej większości składał się z ludzi bardzo młodych, wśród których większość znalazła się po raz pierw-

szy w życiu za biurkami redakcyjnymi i szybko wyróżniła się jako zespół dziennikarzy zdolnych, pełnych inicjatywy i pasji zawodowej. Ze wszystkimi pozostawałem w najlepszych, serdecznych stosunkach, uchodząc w gronie młodych już za doświadczonego „weterana”, cieszącego się wśród nich dużym autorytetem i zaufaniem. Byłem rzecznikiem zespołu wobec kierownictwa wydawców, partii i lwowskiego świata dziennikarskiego. Z ramienia pisma wybierano mnie w tych latach do zarządu Syndykatu lwowskiego.

*

*

*

Prezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich we Lwowie był w owym czasie jeszcze Zygmunt Fryling, najstarszy wtedy weteran dziennikarski we Lwowie, który rozpoczynał karierę w „Dzienniku Polskim” pod kierunkiem Lama i Rewakowicza. Urodzony w r. 1854, pracował przez długi okres czasu także w dziennikarstwie warszawskim, gdzie na przełomie dwu stuleci wspólnie z Reichmanem założył pierwszą w Warszawie polską agencję telegraficzną dla użytku prasy warszawskiej. Za jego prezesury do władz Syndykatu wchodził: Bronisław Laskownicki, równocześnie prezes Towarzystwa Dziennikarzy Polskich, organizacji raczej społecznej niż zawodowej, dalej Władysław Szenderowicz jako sekretarz, Anna Rosenberg z „Dziennika Ludowego” jako skarbniczka, Michał Rolle i Roman Kordys jako wiceprezesi oraz K. Kucharski, M. Hausnerowa, E. Kozłowski, J. Peleńska, B. Skalak i S. Menczel. Komisję Rewizyjną stanowili: L. Szenderowicz z „Wieków Nowego”, A. Rosenberg i S. Kupczyński, a Sąd Rozjemczy: Czapelski, Rossowski, Jampolski i Bukowski. Po śmierci Frylinga w r. 1931 prezesem Syndykatu obrano M. Rollego; wiceprezesami: B. Laskownickiego, Heschelesa, nacz. red. syjonistycznej „Chwili”, Skalaka, redaktora naczelnego socjalistycznego „Dziennika Ludowego”, Szenderowicza ze „Słowa Polskiego”. Ponadto do władz weszli: Blaustein („Gazeta Poranna”), Brat („Chwila”), Cepnik („Wiek Nowy”), Hausnerowa („Słowo Polskie”), Hrabyk („Kurier Lwowski”), Kopilewicz („Dziennik Ludowy”), Nechay („Wiek Nowy”), Przybylski (Agencja Wschodnia), Starzewski („Kurier Lwowski”), Weinstock („Chwila”). Komisję Rewizyjną tworzyli: Peleńska („Gazeta Poranna”), Burczak (Polska Agencja Telegraficzna), Schoenfeld („Chwila”), a Sąd Polubowny: Szarota („Gazeta Lwowska”), Świrski („Kurier Lwowski”), Damm („Chwila”), S. Kupczyński („Słowo Polskie”), Chmielewski (korespondent „Ilustrowanego Kuriera Codz.”), Teitelbaum („Chwila”). Ten szeroki wachlarz ludzi o różnorodnych i przeciwstawnych kierunkach, jak również współpraca dziennikarzy zarówno polskich, jak żydowskich z partii syjonistycznej — charakteryzowały najlepiej platformę organizacji, skupiającej zgodnie pra-

cowników o różnych poglądach reprezentowanych w ówczesnej prasie. Współdziałanie organizacji dziennikarskiej odznaczało się wzajemną lojalnością i było dobrą szkołą wychowania społeczno-politycznego, chociaż nie brakowało starć, zgrzytów, a nawet konfliktów. Do poważnego konfliktu doszło niebawem.

Dużą natomiast, do końca niewypełnioną, lukę w dziennikarstwie lwowskim stanowiła sprawa dziennikarzy ukraińskich. Tworzyli oni we Lwowie bardzo znaczny, bodaj większy od polskiego, zespół wybitnych i znanych współpracowników poważnej ilości prasy ukraińskiej, wśród której istniały pisma o znacznych rozbieżnościach politycznych. Ale w jednej sprawie istniała wspólna między nimi i solidarna platforma. O ile z początku, po pierwszej wojnie, problem wspólnej organizacji wszystkich dziennikarzy lwowskich nie był nigdy tematem rozważań ani po stronie polskiej, ani ukraińskiej, co było zrozumiałe ze względu na świeże wówczas wspomnienia z lat 1918/1919, o tyle w okresie mojego pobytu we Lwowie poruszano czasem ten temat w gronie dziennikarzy polskich, ale ze strony naszych kolegów ukraińskich nie napotymano żadnego odzewu.

Ukraińscy dziennikarze, zapewne nie wszyscy, ale w każdym razie ich zdecydowana większość, nie chcieli łączyć się z nami pod jednym dachem i posiadali własną organizację, która odmawiała udziału także w centralnej ogólnopolskiej organizacji dziennikarskiej, jakim był Związek Dziennikarzy RP. Rozdział w tej sprawie był tak znaczny i sztywny, że nie istniały nawet towarzyskie kontakty pomiędzy nami a ukraińskimi dziennikarzami. Nie znaliśmy się wzajemnie i nie podejmowaliśmy żadnych starań, aby doprowadzić do zbliżenia chociaż na takim gruncie. Nie było takich prób również ze strony ukraińskiej. Ten stan rzeczy utrzymał się nawet w okresie, gdy pod koniec, przed II wojną, nastąpiła faza tzw. ugody pomiędzy UNDO a rządem i gdy Ukraińcy po raz pierwszy weszli w kontakt polityczny z oficjalnymi czynnikami polskimi.

Przyczyną tego nienaruszanego stanu rzeczy po obu stronach było głównie zagadnienie wynikające z istnienia tajnej organizacji terrorystów ukraińskich. Penetrowali oni wszystkie środowiska ukraińskie i posiadali znaczne styki również z dziennikarzami ukraińskimi. Wielu z nich równolegle zajmowało się działalnością społeczną, ale przede wszystkim polityczną, kilku z nich było wybitnymi przywódcami. Tajna organizacja szowinistów niewątpliwie terroryzowała całe środowisko ukraińskie, wymuszając postawę antypolską także na tych żywiołach czy ludziach, którzy nie podzielali tych poglądów w całej rozciągłości. Udział dziennikarzy ukraińskich we wspólnej z nami organizacji zawodowej otwierałby — w ich przekonaniu — znaczne pole do bezpośredniej penetracji polskiej w ukraińskich kołach dziennikarskich i OUN nie uważała za pożądane

stwarzanie tego rodzaju platformy. Nie było zaś nic łatwiejszego, jak przeszkodzić realizacji innego stanowiska w tej sprawie, ponieważ nacjonalistyczne koła ukraińskie bez trudności mogły zawsze utworzyć własną, odrębną i liczną grupę dziennikarzy, która nie tylko przeciwstawiłaby się ośrodkowi zdążającemu do połączenia z organizacją polskich dziennikarzy, ale ponadto postawiłaby go pod pręgierzem „zdrady” narodowej, co w tych czasach powodowało wśród Ukraińców daleko idące następstwa.

Z drugiej strony polskie czynniki, szczególnie administracyjne, były także przeciwne przyjmowaniu dziennikarzy ukraińskich do wspólnej organizacji, ponieważ ich zdaniem, ułatwiałoby to z kolei kołom terrorystycznym penetrację w środowisku polskim, i to pod auspicjami Syndykatu Dziennikarzy, którego członkowie korzystali ze znacznych przywilejów i ułatwień. Między innymi korzystaliśmy z reguły z bezpłatnych przejazdów pociągami pierwszą klasą, byliśmy zapraszani na wszystkie ważne uroczystości, konferencje, często poufne i zamknięte, różne spotkania itd. Mogło to służyć terrorystom do wykorzystania tych uprawnień i przywilejów w ich działalności otwarcie antypaństwowej. Izolacja uniemożliwiała korzystanie z tych dróg. Taki był policyjny punkt widzenia na to zagadnienie, natomiast politycznie przedstawiało się ono jako problem co najmniej dyskusyjny. Ten stan rzeczy był na pewno nienormalny, a dla strony polskiej niekorzystny; czy wśród dziennikarzy ukraińskich nie powodowało to również wątpliwości — nie umiem powiedzieć. Nie utrzymywałem i ja z nimi łączności, chociaż w ciągu wielu lat poznałem jednego lub dwu dziennikarzy ukraińskich na ławie dziennikarskiej w czasie procesów przeciw sprawcom różnych zamachów ukraińskich. Szersze moje znajomości w ukraińskich sferach dziennikarskich nastąpiły dopiero po drugiej wojnie poza granicami kraju.

*

*

*

Zarząd wydawnictwa „Kuriera” stanowili: Jan Pieracki, Franciszek Szpineter, reprezentujący dawne grono właścicieli i tolerowany wśród nowych ze wszystkimi pozorami oddanej mu rangi przewodniczącego, dalej prof. Władysław Tarnawski, Władysław Świrski jako redaktor naczelny i Stefan Broś jako dyrektor drukarni. W rzeczywistości decydował jednak o wszystkim Jan Pieracki, który dźwigał trud ponoszony wokół rozbudowy pisma, ale ponosił również główną odpowiedzialność za jego późniejszy upadek. Był człowiekiem wybitnie inteligentnym, ale odznaczał się usposobieniem autokratycznym, nie znoszącym oporów. Ufał swoim rzeczywiście wyjątkowym zdolnościom adwokackim także na niwie wy-

dawniczej i redakcyjnej, na których zupełnie się nie znał. To stało się jego słabą stroną na nowym posterunku. Niedobrym duchem Pierackiego był Władysław Tarnawski, który, korzystając z autorytetu profesorskiego, także w sposób niekompetentny mieszał się do spraw redakcyjno-wydawniczych, co powodowało częste konflikty z zespołem dziennikarskim. Tarnawski był jednym z najwybitniejszych polskich znawców Szekspira, tłumaczem *Antoniusza i Kleopatry*, *Romea i Julii*, *Juliusza Cezara*, *Hamleta*, *Króla Leara* i *Burzy*. Niewątpliwie duża, solidna wiedza w dziedzinie szekspirologii predestynowała Tarnawskiego do poważnej roli znakomitego uczonego i specjalisty szekspirologa. Ale zawodził jako polityk i wyrządził wielką krzywdę zarówno sobie samemu, jak nauce, angażując się do działalności, która nie znajdowała się na drodze jego bezspornych uzdolnień typu naukowego.

Brakowało należytej harmonii pomiędzy poszczególnymi członami wydawnictwa, ponieważ odrębnym czynnikiem była także drukarnia i jej szef, realizujący własne zamierzenia i plany. W pierwszym okresie zgrzyty nie posiadały znaczenia, ale w miarę upływu lat i trudności zagadnienie nabrzmiało do rozmiarów kryzysu.

Moja pierwsza współpraca z „Lwowskim Kurierem Porannym” trwała zaledwie pół roku, bo do jesieni 1929 r. Przez cały ten czas borykaliśmy się stale z wielkimi kłopotami. Świrski wspólnie z Pierackim podejmował duże i bezustanne wysiłki, aby zainteresować pismem kierownicze czynniki partyjne. Nie zajmowałem się tymi staraniami, pochłonięty całkowicie codzienną pracą w redakcji. Zabiegi Świrskiego i Pierackiego dały zamierzony rezultat dopiero w r. 1930. Prof. Stanisław Głabiński odstąpił bezinteresownie swoją obszerną i piękną willę przy ul. Mochnackiego 48 do użytku wydawnictwa. Przerobiono ją i dobudowano skrzydło na własną drukarnię. Z częściową pomocą przyszło zamożne wydawnictwo „Kuriera Poznańskiego”, które sprzedało nam zresztą starą maszynę rotacyjną i inne urządzenia drukarskie; zainstalowano je łącznie z linotypami i wyposażono zakład w drukarnię również ręczną, ze wszystkimi akcesoriami potrzebnymi do samodzielnej produkcji. Staliśmy się w ten sposób przedsiębiorstwem prasowym w pełnym słowa tego znaczeniu, a decyzja — zdawało się — wyrównała stratę wynikłą po aferze „Słowa Polskiego”.

W późniejszym okresie Pieracki nawiązał współpracę z ówczesnym dyrektorem koncernu „Małopolska” — Tabiszem. W tym czasie był to rzecznik sfer nafiarskich, wyróżniający się bezwzględными metodami i cechami brutalnego przedstawiciela interesów kapitalistycznych. Tabisz reprezentował znany typ rekina, nieczułego na dół podległych mu ludzi świata pracy. Takim go znaleźliśmy z różnych okoliczności, toteż niemałe zdumienie wywołał potem udział tego człowieka w życiu politycznym, naj-

pierw we współpracy z endecją, a następnie z ludowcami Witosa. Tabisz początkowo stał się w jakiejś części współudziałowcem „Kuriera Lwowskiego”, udzielając pomocy na uzupełnienie drukarni. Jego kontakt z pismem nie był jednak długi, ponieważ wkrótce znalazł się wśród ludowców i w czasie wojny odgrywał znaczną rolę wśród tej partii w podziemiu jako rzecznik obrony praw, z kolei chłopskich. Nigdy nie mogłem zrozumieć tej jego roli na tle żywych wspomnień o dyrektorze „Małopolski”, nie mającym nic wspólnego z jakąkolwiek choćby tolerancją w stosunku do słusznych praw robotnika czy chłopca.

W pierwszych dniach października 1930 r. nastąpiło przeniesienie redakcji i wydawnictwa na ul. Mochnackiego. Nie uczestniczyłem w instalowaniu nowej siedziby pisma, ponieważ w tym okresie przebywałem w Szkole Podchorążych i wróciłem potem już do nowego pomieszczenia. W grudniu zmieniono tytuł pisma na „Kurier Lwowski”.

Po powrocie z wojska zastałem zorganizowaną również administrację. Na jej czele stał Zdzisław Orłoś, człowiek nie posiadający należytego przygotowania do tej funkcji. Dyrektorem drukarni został Stefan Broś, dobry, obrotny i ruchliwy fachowiec. Kierowniczką księgowości była Ewa Konieczna, która — jak się okazało — odegrała wkrótce w moim życiu doniosłą rolę, ponieważ została moją żoną. Do współpracowniczek należały trzy Jadwigi: Porębianka, działaczka harcerska, wielkiej zacności i sumienności pracowniczka, kasjerka Baurowiczowa i Szneiderówna, zajęta przy ogłoszeniach. Do zespołu wchodził główny ogłoszeniowiec Banaszyński, Poznańczyk z pochodzenia, bardzo oddany wydawnictwu, pomysłowy i pełen inicjatywy, następnie jego pomocnik Głogowski oraz Kazimierz Turzański jako kierownik ekspedycji, ojciec współpracującego z nami młodego poety i literata Władysława. Mieliśmy dwu woźnych: bystrego i zrównoważonego Jana Brone i pocziwego Grzegorza Hupałę. Obaj, jak należało do tradycji i ustroju ówczesnego dziennikarstwa, stanowili nierozłączną, integralną część zespołu redakcyjnego, wtajemniczeni we wszystkie jego kulisy, słabości i cnoty, upadki i wzloty.

Administracja otworzyła kantor przy ul. Zimorowicza, gdzie utrzymywaliśmy kontakt z publicznością, aby nie fatygować jej do dosyć odległej od śródmieścia i wysoko położonej pod Cytadelą redakcji. Jej położenie było niemal luksusowe, jak żadnej innej redakcji lwowskiej. Znajdowała się na wysokim wzgórzu, pełnym ogrodów i zieleni. Od ulicy oddzielał nas własny ogród, ubarwiony kwiatami i kwitnącymi krzewami. Posiadaliśmy obszerny taras i ogromną salę redakcyjną. Redaktor naczelny zajmował odrębny pokój, zespół pracował wspólnie na jednej sali. Było nam tam dobrze i swobodnie [...]

*

*

*

Oprócz prasy endeckiej, najpierw „Słowa Polskiego”, potem „Kuriera Lwowskiego”, aż w końcu „Słowa Narodowego”, oraz prasy rządowej, najpierw „Dziennika Lwowskiego”, potem „Słowa Polskiego”, a następnie „Dziennika Polskiego”, obok bez przerwy ukazującej się „Gazety Lwowskiej”, pisma specyficznego i nie odgrywającego po I wojnie żadnej roli w społeczeństwie, ukazywały się we Lwowie inne dzienniki o urozmaiconym wachlarzu politycznym. Był więc „Dziennik Ludowy” jako organ PPS, „Wiek Nowy” reprezentujący liberalno-demokratyczne sfery o nieokreślonej przynależności partyjnej, popierające Piłsudskiego, a po jego śmierci częściowo skłaniające się ku ówczesnej lewicy, dalej „Gazeta Poranna”, dziennik bez ustalonego oblicza politycznego o charakterze jeśli nie brukowym, to co najmniej bardzo popularnym, następnie od lat mniej więcej trzydziestych „Lwowski Express Wieczorny” — bratnie pismo „Wieku Nowego” o typie sensacyjno-brukowym, i jego konkurent „Goniec Wieczorny”. Osobną pozycję stanowiła „Chwila” — organ syjonistów lwowskich, i „Diło” — organ UNDO.

Zadne z pism polskich nie posiadało zbyt mocnych podstaw wydawniczych, chociaż najsilniejszy był „Wiek Nowy” z własną drukarnią i dość znacznym, choć nie zawrotnym, nakładem, obok „Expressu” korzystającego z usług wydawnictwa macierzystego i cieszącego się dość dużą popularnością. „Gazeta Poranna” przeżywała bezustanne kryzysy finansowe, „Chwila” była mocna dzięki poczytności w społeczeństwie żydowskim, podobnie jak „Diło”, mające poparcie wszystkich Ukraińców. Oprócz „Diła” ukazywały się także dwa lub trzy inne dzienniki ukraińskie, ale nie wspominał o nich, ponieważ prasa ukraińska stanowiła w ogóle specjalny rozdział prasy we Lwowie. „Diło” uchodziło za ukraińskie centralne pismo, które zwracało powszechną uwagę społeczeństwa polskiego i jego stanowisko poczytywane było za miarodajną opinię polityczną Ukraińców.

Dzieje prasy polskiej we Lwowie tych lat są obszernym tematem, którego nie podejmowałbym się wyczerpująco omawiać w moich wspomnieniach. Mogą one stać się zaledwie drobnym przyczynkiem do historii tej prasy, jeżeli ktoś zechce ją kiedyś opracować. Na ogół, poza wyjątkami, nie była to w tych czasach prasa ani o wyjątkowym znaczeniu, ani nie mająca szczególnego autorytetu. Jedno i drugie zapisywane tak świetnie w pierwszym i w połowie drugiego dziesięciolecia bieżącego wieku uległo obniżeniu z tych samych przyczyn, dla których obniżył się w ogóle lot Lwowa w całym okresie międzywojennego dwudziestolecia. Prasa zaś prowincjonalna w Polsce w ogóle straciła wtedy bardzo wiele na rzecz prasy centralnej w Warszawie, a także krakowskiego „IKC”.

Mimo to starano się we Lwowie kontynuować dawne tradycje prasy lwowskiej z lat minionych. Naturalnym biegiem rzeczy zmienił się oczywiście garnitur ludzki w zespołach redakcyjnych, przyszli nowi ludzie,

nie zawsze odpowiadający poziomem i horyzontami swoim wielkim poprzednikom. Zygmunta Wasilewskiego nie zastąpił Stanisław Grabski, który nie był dziennikarzem, chociaż nie schodził z łam prasowych jako publicysta, ani tym bardziej Roman Kordys czy inni. Nie było ani jednego talentu dziennikarskiego, choćby w miernym stylu w „Zespole Stu”, który opanował „Słowo Polskie”. Pomyślnie zapowiadał się zespół „Kurier Lwowski”, który w znacznej części znalazł się później w „Dzienniku Polskim”. Dziennikarsko i publicystycznie nie przedstawiał dużej wartości „Wiek Nowy”, który wpadł w rutynę, stał się pismem nudnym i raczej tylko informacyjnym, od czasu do czasu zabierając ostrożnie głos w sprawach politycznych, ale bez większego wpływu na ich bieg. Nie spełniała żadnej szczególnej roli „Gazeta Poranna”.

Wspomniana „Gazeta Lwowska” była dziwologiem, istniejącym wskutek prawa bezwładu. Był to za czasów austriackich organ urzędowy namiestnika, posiadający swoją oficjalną i jawną pozycję w galicyjskim budżecie krajowym. Gazeta ta w tamtych czasach była pismem wprowadzie politycznie obcym interesom polskim, ale zachowywała wysoki poziom i skupiała wiele doskonałych piór. Stanowiła na pewno bardzo poważną pozycję w prasie. Po zakończeniu pierwszej wojny redakcja podjęła kontynuację tego wydawnictwa, aczkolwiek nie było już namiestnika austriackiego i zniknęła potrzeba wydawania tego rodzaju dziennika. W następstwie niewyjaśnionych okoliczności tradycje namiestnika przejął na tym odcinku rząd i sejm polski, a „Gazeta Lwowska” jako jedyny w Polsce dziennik uzyskala nadal swoją pozycję w budżecie, tym razem już państwowym, Rzeczypospolitej. Nikt nie wiedział ani nie umiał wyjaśnić, komu to pismo jest potrzebne i dlaczego wychodzi, tym bardziej że w końcu jego treść na czterech stronach składała się wyłącznie z depesz zestawianych i odbijanych bez zmiany ze składu „Słowa Polskiego”, później „Dziennika Polskiego”, oraz z ogłoszeń komorników sądowych, które zapewniały mu dochód. Nikt tego pisma ani nie czytał, ani nie kupował. I nikt go do końca nie zlikwidował. Ukazywało się aż do września 1939 r.

Ostatnim redaktorem tego przedziwnego pisma był Aleksander Wareński, równie dziwny szef tego niby dziennika. Jego obowiązki nie wymagały się nawet w łamaniu pisma, a tym bardziej w zasilaniu go jakimkolwiek oryginalnym materiałem. Pismo redagowali praktycznie zecerzy i metrampaż, przenosząc materiał już złożony z „Dziennika Polskiego”, bodaj wedle własnego uznania. Jedyną oryginalną częścią dziennika były wspomniane ogłoszenia komorników. Wareński spędzał natomiast całe dnie w różnych lokalach gastronomicznych, ponieważ należał do grona uporczywych konsumentów znacznych ilości alkoholu, a swoje zajęcie w redakcji, jako b. legionista, traktował po prostu jako synekurę, nie na-

kładającą na niego żadnych określonych zajęć. Wareński zginął w pierwszym dniu wojny na moście pod Tczewem. Przypominam sobie, że w „Gazecie Lwowskiej” w owym, przedwojennym okresie pracował z nim Bolesław Lewicki, który zastępował chronicznie nieobecnego redaktora naczelnego.

Natomiast znakomity zespół posiadała zarówno „Chwila”, jak „Dziło”, i oba pisma wyróżniały się nigdy nie obniżonym, stale utrzymywanym wysokim poziomem publicystyki i służby dziennikarskiej¹.

Swiatek lwowskich dziennikarzy był stosunkowo liczny. Seniorem — po zgonie Frylinga i Michała Rollego — został Bronisław Laskownicki, w moich oczach już raczej u zmięczeniu zasłużonego życia, czynny formalnie jako redaktor swojego dziennika, dożywotni, jak zawsze we Lwowie, prezes Syndykatu Dziennikarzy i radny miejski oraz uczestnik honorowy wszelkich większych uroczystości i obchodów różnego rodzaju. Wielka różnica wieku i jeszcze większa poglądów politycznych sprawiały, że nie nawiązałem z seniorem szczególniejszych stosunków, a raczej były one chłodne, w latach późniejszych popadłem nawet w konflikt z prezesem Syndykatu, którego zresztą zawsze ceniłem i szanowałem, aczkolwiek nigdy nie godziłem się z całokształtem jego postawy.

Posiadałem natomiast dobre stosunki z niektórymi współpracownikami jego dwu dzienników. Ze starszych łączyły mnie życzliwe węzły koleżeńskie z Henrykiem Cepnikiem, a z młodszych z Henrykiem Rotbartem, występującym później pod pseudonimem Jan Gieryński. Był on współredaktorem „Expressu”, jednym z najbardziej tam czynnych i użytecznych, a ponadto korespondentem sanacyjnej „Gazety Polskiej”. Tuż przed wojną Rotbart-Gieryński przeszedł do Kościoła katolickiego, jego ojcem chrzestnym był Adam Nechay z „Wieku Nowego”, po czym wydał jedyny w tym czasie polskie tłumaczenie *Mein Kampf* Hitlera z własnymi komentarzami, jak najbardziej oczywiście wrogimi dla hitleryzmu. We wrześniu 1939 r. Rotbart udał się dobrowolnie do Związku Radzieckiego

¹ Ukazywał się w tych latach we Lwowie tygodnik „Sprawiedliwość”, wydawany i redagowany przez Kazimierza Kijanowskiego, który za czasów swojej wczesnej młodości był ruchliwym działaczem młodzieży endeckiej, a później wydawał pismo szantażowe. Polegało to na tym, że ktokolwiek odmówił wydawcy żadanego ogłoszenia i w ten sposób nie opłacił mu się, znajdował się wkrótce na łamach „Sprawiedliwości”, która zajmowała się wtedy ciemniejszymi stronami ofiary Kijanowskiego. Metoda ta obejmowała różne sfery: kupców, przemysłowców i także osoby postronne. Pismo stało się haniebną kartą prasy lwowskiej. Kijanowski oczywiście nie należał do Syndykatu Dziennikarzy, który się od niego odcinał, niemniej pismo wychodziło. Zaczepieni przez pismo ludzie rozprawiali się często z Kijanowskim, znieważając go, ale to nie hamowało dalszej procedury tego zresztą uzdolnionego dziennikarza, który, korzystając z zasady wolności prasy, uprawiał proceder uchylający jakiegokolwiek etyce dziennikarskiej.

i spędził w nim całą wojnę, pracując w różnych zawodach. Po drugiej wojnie powrócił do Polski, a stąd wyjechał do Niemiec, gdzie pewnego dnia w roku bodaj 1947 zgłosił się w redakcji tygodnika „Kronika”, redagowanego przeze mnie w Eppstein koło Frankfurtu nad Menem. Pomimo że posiadałem już wtedy skompletowany zespół redakcyjny, nie tylko ugościłem kolegę lwowskiego w istniejącym tam Domu Dziennikarzy, ale zaangażowałem Rotbarta do redakcji. Pracował w niej chyba dłużej niż rok, darzyłem go pełną przyjaźnią i opieką, ale w końcu Rotbart-Gierzyński nieoczekiwanie mnie zawiadomił, że wyjeżdża na stałe do Palestyny. Pożegnaliśmy go równie serdecznie, jak powitaliśmy, i więcej już o Rotbarcie nie słyszałem. Nie przekazał nigdy nikomu, nawet Nechayowi, żadnej o sobie wiadomości z Izraela.

Z kolegą redakcyjnym Rotbarta, Stanisławem Zalcmanem-Sulikowskim, miałem na odmianę stosunki nie dobre. Wynikało to z zasadniczych różnic politycznych, jakie dzieliły mnie z tym dziennikarzem, powiązanym z ruchem komunistycznym. Na tym tle rozegrały się później wypadki na terenie Syndykatu, do których powrócę.

W „Wieku Nowym” pracował dziennikarz Karol Dziubka, dawny korespondent drohobycki „Słowa Polskiego”, którego jedynym marzeniem była współpraca w którejkolwiek redakcji prasy lwowskiej. Dziubka był rozbijającym prymitywem, pasjonującym się jednak w zawodzie dziennikarskim, ale niezdolnym do osiągnięcia żadnego bardziej zaawansowanego poziomu. Jego ambicja miała podobno związek z przyrzeczeniem złożonym ukochanej bogdance, że znajdzie się w końcu we Lwowie jako towarzyszka oryginalnego dziennikarza, a nie prowincjonalnego korespondenta. Dziubka zmusił mnie do ulokowania go w prasie lwowskiej. Ponieważ nalegał tak natarczywie i rozpaczliwie, że wzbudzał wzruszenie, podjąłem w końcu starania. Korzystając ze znajomości w „Wieku Nowym”, udało mi się nakłonić redaktorów tego pisma, aby zaprosili Dziubkę. W ten sposób uniknąłem wprowadzenia go do naszego zespołu w „Słowie Polskim”. Wdzięczność korespondenta drohobyckiego nie miała kresu. Karol Dziubka był w „Wieku Nowym” reporterem sądowym i płał w tym zajęciu. Wymyślał najbardziej zaskakujące tytuły, które miały wstrząsać czytelnikiem, nie wychodził z sal sądowych i wszystko wykonywał z tak nadzwyczajnym przejęciem, że pomimo całego dziwactwa jego natury i pocieszności jego stale zaniedbanej, nieforemnej i karykaturalnej sylwetki zapał i duma Dziubki z wykonywanej pracy budziły szacunek.

Z innych dziennikarzy, z którymi łączyły mnie żażyłe i bliskie stosunki, muszę wymienić Kopilewicza z „Dziennika Ludowego”, a szczególnie jego żonę Basję. Pomimo zdecydowanej różnicy poglądów — oboje Kopilewiczowie byli fanatycznymi socjalistami i czynnymi działaczami

PPS — nasza przyjaźń zamieniła się z czasem w bardzo serdeczną zażyłość, którą zachowałem w niezmiennej pamięci. Basja Kopilewiczowa corocznie w dniu 1 Maja pilnowała, aby przypiąć mi czerwoną kokardkę, sprzedawaną na ulicach przez działaczy pepesowskich na cele TUR. Z sympatii dla niej godziłem się zawsze na tę dekorację w dniu socjalistycznego święta. Chodziłem zresztą również na zgromadzenia masowe, odbywane w tym dniu w różnych miejscach, ale najczęściej na pl. Gosiewskiego, i słuchałem przemówień, które mnie jednak ani nie podniecały, ani nie przekonywały. Wydawały mi się zawsze zbyt monotonne, szablonowe i po prostu nudne. W czasie długich spacerów po parku Stryjskim Basja (która była Żydówką i stąd wynikało jej imię odmienne od Basi) tłumaczyła mi cierpliwie absurdalność antysemityzmu i zobowiązywała do poniechania mojego udziału w akcjach endeckich. Powoływałem się wtedy na moją z nią przyjaźń, jako na dowód mego bardziej niż umiarkowanego stanowiska, i tłumaczyłem jej nieraz, że opinia, jaką się w tej dziedzinie o mnie szerzy, jest wielokrotnie przesadzona i nieprawdziwa. W czasie uroczystości związanej z chrzcinami mego syna Basja była gościem naszego domu, podobnie jak ja bywałem gościem u jej rodziny. Oboje Kopilewiczowie, jak słyszałem, zginęli w getcie, zamęczeni okrutnie przez hitlerowców. Pozostali w najżyczliwszej i najserdeczniejszej mojej pamięci.

Miałem również zawsze poprawne i dobre stosunki z współredaktorami „Chwili”. Wspominam wzorową współpracę, spotkania, dyskusje i stosunki wiążące mnie z niektórymi ludźmi zespołu tego dziennika: Hescheselem, Bratem, Iglem, Weinstockiem i Schoenfeldem. Nie zapomnę incydentu bodaj w 15 albo 16 dniu września 1939 r., kiedy w podziemiach województwa lwowskiego w czasie nalotu hitlerowskiego znaleźliśmy się wspólnie z Hescheselem w jednej kolejce — aby za pomocą ogromnego kołowrotka poruszać wiatrak utrzymujący w podziemiu należyty dostęp powietrza. Stanęliśmy obaj przy tej ręcznej maszynie, popychając ją wspólnie przed sobą i dyskutując o tej niezwyklej czynności, tak różnej od naszego właściwego zajęcia. Nigdy już potem ani Hescheselesa, ani jego kolegów z „Chwili” nie spotkałem. Wiem, że zginęli jako ofiary hitlerowskiego bestialstwa.

Wspominam przyjemnie dziennikarza lwowskiego Henryka Blausteina z „Gazety Porannej”, z którym nieraz wykonywałem różne obowiązki dla naszych gazet. Darzyłem go sympatią, ceniąc jego zawodowe walory.

Z innych dziennikarzy wspomnieć trzeba Franciszka Pawliszaka z „Dziennika Polskiego” w okresie Lutmana i Górki, solidnego, spokojnego kolegę, który pomimo różnic politycznych, jakie dzieliły nasze pisma, zachowywał zawsze równowagę sądów i stosunku wobec przeciwników politycznych. Do poważnych i odpowiedzialnych dziennikarzy, aczkolwiek nie

wysuwających się nigdy na eksponowane pozycje, należał Adam Nechay z „Wieku Nowego”. Przyjaźniłem się z Anną Rosenberg z „Dziennika Ludowego”, która miała uroczą córkę Jasię; jej ojcem był znany przywódca ludowców Jan Dąbski, przewodniczący delegacji polskiej w rokowaniach w sprawie traktatu pokojowego w Rydze między Polską a Związkiem Radzieckim. Bardzo wartościowym dziennikarzem był Burczak, kierownik lwowskiego oddziału PAT. Innym dziennikarzem, znawcą problemu ukraińskiego, był tajemniczy Łoik z „Wieku Nowego”. Z dziennikarek charakterystyczną postacią była Janina Peleńska z „Gazety Porannej”, spokrewniona z ukraińskimi Peleńskimi, wówczas już starsza pani, ale wytrwała reporterka, która nie ustępowała w energii młodszemu kolegom. Inną naszą koleżanką była Michalina Hausnerowa, spokojna, pracowita dziennikarka, żyjąca jakby na marginesie wydarzeń, zawsze czynna i obecna wśród nas. Posiadał Lwów również swego satyryka w osobie Rappaporta, używającego pseudonimu Raort, który nigdy jednak nie zabłysnął na szerszym firmamencie polskim, pozostając do końca gwiazdą zaledwie lwowską, zachowując cechy lokalnego klimatu o prowincjonalnym posmaku.

Odrębną grupę stanowili pracownicy Radia Polskiego, nie utrzymujący jednak z dziennikarzami zbyt zażyłych stosunków. Wśród nich największą popularnością cieszyli się wykonawcy lwowskiej *Wesołej fali* z Kazimierzem Wajdą-Szczepkowskim i Henrykiem Vogelfengaerem — Tońciem, Jerzym Korabiowskim — „radcą Strońciem”. Ale byli wśród nich także inni, głośni i znani w całej Polsce. Kierował tym zespołem Wiktor Budzyński. Kilka razy stawałem przed mikrofonem jako prelegent. Dyrektorem radia był Juliusz Stefan Petry, spikerką — Celina Nahlikówna. Radiowcy tworzyli początkowo osobny klan, nie uważając się za dziennikarzy i nosząc się górnie. W kilka lat później wpadli jednak w nasze sieci i włączyli się do dziennikarskiej organizacji.

Tak wspólnie doszliśmy do wybuchu wojny, która w jednym dniu zakończyła dzieje tych kart we Lwowie. Ale na wstępie lat trzydziestych znajdowaliśmy się jeszcze w pełnym rozpędzie.

*

*

*

Bezpośrednio po powrocie z szeregów wojskowych jesienią 1930 r. podjąłem od razu pracę w redakcji „Kuriera Lwowskiego” oraz działalność polityczną [...]

Nad ogólną atmosferą kraju zaciążyła w tym czasie sprawa Brześcia. Niedługo po zwolnieniu więźniów z twierdzy brzeskiej wziąłem udział w ściśle poufnym konwentyklu, zwołanym przez pepeśowców w kancelarii

adwokackiej działacza PPS Dręgiewicza. Obecnych było zaledwie 10—12 osób najbardziej zaufanych, wśród których byłem jedynym przedstawicielem młodszych. Przemawiał do nas pos. Herman Liebermann, opowiadając szczegółowo o swoim pobycie w Brześciu i o wszystkich tragicznych przejściach towarzyszących wtedy jemu i innym więźniom. W pewnej chwili Liebermann opowiadając bodaj o śmierci swojej matki i o zakazie wyjazdu na jej pogrzeb, wydanym przez Kostka-Biernackiego — głęboko się wzruszył i zapłakał. Opowiadanie Liebermanna wywołało najgłębsze wrażenie wśród obecnych. Wobec braku w prasie pełnych informacji o metodach stosowanych w Brześciu po raz pierwszy usłyszałem wtedy autentyczną relację o nich z ust naocznego świadka i ofiary Brześcia.

Wkrótce potem podjęto protesty przeciw Brześciowi. We Lwowie skierowali go do posłów i senatorów niektórzy profesorowie uniwersytetu, wśród nich Oswald Balzer, Franciszek Bujak, Leon Piniński, Eugeniusz Romer, Hilary Schram, Stanisław Grabski. W odpowiedzi na to pos. Aleksander Domaszewicz, prezes „Zespołu Stu” i również profesor uniwersytetu, ogłosił w prasie oświadczenie, że jako poseł nie przyjmuje do wiadomości protestu profesorskiego, ponieważ do zbadania sprawy Brześcia powołane są władze sądowe i rządowe i obywatele nie są uprawnieni do przypominania władzom ich obowiązków i do ponaglania posłów, aby przyspieszyli czy w ogóle miesza się do ewentualnych badań tego rodzaju sprawy. Oświadczenie było bardzo zuchwałe, ale opinia publiczna przypisywała je nie Domaszewiczowi, który był człowiekiem nieprawdopodobnie naiwnym politycznie i w tej dziedzinie odgrywał rolę ślepego narzędzia swoich doradców i inspiratorów z „Zespołu Stu”.

Po oświadczeniu Domaszewicza ogłosiłem ostry artykuł w „Kurierze” pt. *Lwowski szyldwach Brześcia*, w którym m. in. pisałem pod adresem Domaszewicza: „Przez swą odpowiedź zarejestrowałeś się w obozie Kostka-Biernackiego jako jego współwyznawca. Stałeś się pan »ideologiem« brzeskim”.

W krótki czas później Juliusz Kleiner, również profesor uniwersytetu lwowskiego, znakomity znawca Słowackiego i zasłużony badacz literatury polskiej, ogłosił także oświadczenie, w którym pisał: „Chwila obecna nie pozwala na walki wewnętrzne. Wszelkie tarcia, wszelkie porachunki winny być odsunięte na dalszą metę. Czujny wzrok solidarnego bezwzględnie społeczeństwa musi być dzisiaj zwrócony na samą tylko powagę sytuacji światowej i konieczność przebudowy”. Apel ten był wymierzony przeciw protestom antybrzeskim. Odpowiedziałem prof. Kleinerowi artykułem, w którym pisałem m. in.: „Jeżeli już lekceważy Pan, Profesorze, wyrzut i udrękę narodowego sumienia, to opinii świata cywilizowanego Pan, entuzjasta Juliusza Słowackiego i romantyzmu polskiego, lekceważyć sobie nie może, bo to, co się stało w Brześciu, przekreśla

całą chwałę tego, co wielki ruch romantyzmu polskiego i jego wieszczów stworzył i czym świat zadziwił i porwał”.

W tym samym czasie protest ogłosili również niektórzy profesorowie politechniki. Następnie wszystkie organizacje akademickie z naszej inicjatywy ogłosiły publiczne oświadczenie, również potępiając Brześć. Wówczas niektórzy profesorowie podjęli naciski skłaniające poszczególne organizacje do wycofania podpisów, przy czym grożono opornym różnego rodzaju represjami i szykanami. W odpowiedzi na tę metodę zwołaliśmy wiec ogólnoakademicki z udziałem ponad 3 tys. studentów, na którym złożono protest przeciw próbom terroru, stosowanego przez profesorów wobec poszczególnych studentów oraz organizacji, i zagrożono strajkiem powszechnym młodzieży, jeśli metody te natychmiast nie ustaną. Wśród naukowców podejmujących niegodne metody wymieniano profesorów: Zakrzewskiego, Zaleskiego i Weigla.

Na dzień 20 stycznia 1931 r. Dzielnicowy Komitet Młodych z mojej inicjatywy zwołał wiec sprawozdawczy, na którym miał wystąpić poseł Zdzisław Stahl z udziałem Jana Rembélińskiego, wówczas redaktora „Myśli Narodowej” w Warszawie. Nadałem tę formę wiecowi, aby uniknąć zakazu władz, ale w rzeczywistości postanowiłem urządzić publiczne, masowe zgromadzenie, protestujące przeciw Brześciowi. Odbyło się ono w największej sali lwowskiej, bo w „Sokole-Macierzy”, przy olbrzymim udziale społeczeństwa zarówno starszego, jak i młodzieży. Była to pierwsza, na wielką skalę zorganizowana, publiczna impreza Młodych, pomyślana jako samodzielna, organizowana przez nas, mobilizacja postawy i nastrojów społeczeństwa bez pomocy i firmy partii. Intencja była przejrzysta i nie mogła wzbudzić zachwytu wśród starych endeków, ale temat zwołanego wiecu uniemożliwiał jakiekolwiek przeciwdziałanie.

Przewodniczyłem temu wiecowi i przedłożyłem mu rezolucje, jednomyślnie uchwalone. Głosiły one m. in.: „wiec przyłącza się imieniem całej kulturalnej opinii polskiej Lwowa do protestu polskiego ciała naukowego i literackiego w sprawie Brześcia. Wiec wzywa publicznie związki b. wojskowych i kombatanatów, a w szczególności we Lwowie Związek Oficerów Rezerwy, Związek Obrońców Lwowa i Związek Oficerów w stanie spoczynku do zajęcia stanowiska wobec Brześcia”. W „Kurierze Lwowskim” nazajutrz pisałem: „Był to pierwszy tego rodzaju głos, rzucony z publicznego zgromadzenia obywatelskiego w Polsce. Spodziewać się należy, że za przykładem Lwowa pójda inne miasta Polski”. Pismo dodawało, że ze względów cenzuralnych nie ogłasza części rezolucji, wymierzonej przeciwko gloryfikatorom Brześcia.

W jakiś czas później w artykule pt. *Homo Kleszczyński* pisałem w związku z głośnym incydentem w Sejmie: „Otóż jeżeli chcemy, aby się to skończyło, to organy prasowe nie mogą pisać: »Pos. Niedziałkowski spo-

liczkowany przez pos. Kleszczyńskiego», ale: »Bandycki napad na pos. Niedziałkowskiego«. Wtedy *homo ignotus* Kleszczyński wróci tam, skąd przyszedł, i nie będzie zastępował Łokietka w życiu politycznym».

Edward Kleszczyński, ziemianin z kieleckiego i prezes Izby Rolniczej w Krakowie, był wówczas posłem z ramienia BBWR i należał do grupy Walerego Sławka. Incydent z pos. Niedziałkowskim nastąpił na tle sprawy brzeskiej. Łokietek wspomniany w moim artykule był znaną przed wojną postacią na gruncie warszawskim, w młodości biorąc czynny i podobno zasłużony udział w akcji bojowej PPS w czasie rewolucji w r. 1905. W okresie międzywojennym posiadał wpływy w warszawskim świecie przestępczym, chociaż sam przestępcą nie był.

Treść i ton „Kuriera Lwowskiego”, który po dokonanych zmianach w wydawnictwie w ciągu kilku miesięcy zmienił się we wzorowe i doskonałe pismo codzienne, bodaj najlepsze i najżywsze w tym czasie we Lwowie, wywołały niekontrolowane paroksyzmy cenzury. Konfiskowano na ślepo raz po raz nawet przedruki z innych, także lwowskich, gazet cenzurowanych i dopuszczonych do kolportażu. Notowaliśmy codziennie wzrastającą z każdym dniem ilość konfiskat, która wkrótce osiągnęła liczbę stu. Przy setnej konfiskacie posypały się masowe datki na pismo i wzrosła znacznie ilość nowych prenumeratorów. Cenzura jednak nie ustępowała. Osiągaliśmy nadal rekordowe ilości konfiskat, które sąd częściowo, w niedużej ilości, uchylał. Wtedy zwolnione od konfiskaty artykuły i wiadomości drukowaliśmy ponownie. Sprawa konfiskat zrobiła się głośna i była niezastąpionym i skutecznym środkiem propagandowym dla pisma. Z nicości, z jakiej „Kurier” wyszedł z ulicy Zimorowicza, stał się obecnie jednym z głównych organów lwowskiej opinii publicznej, uzyskał autorytet i ugruntował swoją pozycję. Nie znaczyło to, że zdobywał silniejsze podstawy materialne, ponieważ koszty wydawnictwa pochłaniały wszelkie dochody, a w miarę czasu obciążały je rosnącymi długami, szczególnie w dziedzinie różnych opłat publicznych, wpłacanych nieregularnie albo zgoła zaniedbywanych przez kierownictwo wydawnictwa. Na razie jednak notowaliśmy sukcesy i powodzenia.

*

*

*

W wigilijnym numerze „Kuriera” w r. 1930 redakcja zaprezentowała po raz pierwszy poszerzony nieco zespół pisarzy o wzmocnionym ciężarze gatunkowym, wśród których znaleźli się m. in.: Jan Gwałbert Pawlikowski, prof. Stanisław Starzyński, Zygmunt Wasilewski, Jalu Kurek, a oprócz nich St. Głębiński, W. Świrski, J. Pieracki, W. Tarnawski; mój artykuł nosił tytuł *O sens Lwowa*. Na Wielkanoc r. 1931 zaplanowałem numer

święteczny, złożony wyłącznie z młodych autorów. Starsi stanowili wśród nich tylko dwa rodzyнки. W numerze ogłosili wtedy artykuły: ks. Tadeusz Stroński, Adam Świeżawski, Zdzisław Stahl, Tadeusz Zaderecki, Stanisław Starzewski, Bronisław Zduńczyk, Zbigniew Papp, Tadeusz Ulanowski, Józef Siegniew Słotwiński, Teodor Parnicki, Władysław Pańczak, z poetów Stanisław Rogowski ogłosił *Pieśń o dzwonach* i Aleksander Baumgardten *Dogmat*; ze starszych autorów dopuszczony został zaledwie Władysław Tarnawski i oczywiście Władysław Świrski, jako redaktor naczelny. Ja sam ogłosiłem artykuł pod niedwuznacznym tytułem *Szturmujemy Abderę*.

Artykuł pozornie był wymierzony przeciw bezruchowi i marazmowi we Lwowie, ale skierowany został przeciw starym i tak został zrozumiany w kontekście całego numeru. Pisałem w tym artykule: „My już we Lwowie niczego nie produkujemy. Na rynku kulturalnym liczymy wyłącznie na import, jesteśmy zwyczajnymi, detalicznymi konsumentami dowożonego towaru. Zupełnie jak chińska kolonia. Słowem pustka, jałowizna, szarżyzna, Pińsk, Wschód. Powinna się koniecznie znaleźć platforma wspólnego porozumienia dla ratowania tonącej w ciemnościach Abderę lwowskiej, trzeba, aby z Młodej Ligi Ratowniczej podniósł się krzyk, aby wyszedł apel do wszystkich”.

W starej endecji zawrzało; wśród większości młodych wywołało poruszenie i aprobatę. Zrodziły się nadzieje na lepsze. Tego rodzaju manifest, ogłoszony na łamach pisma bądź co bądź partyjnego, z wyraźnym wysunięciem wyłącznie młodych na czoło i wycofaniem z łam starych, nie mógł przejść bezkarnie. Było jednak na razie na to za wcześnie, ponieważ panowałem nad sytuacją, miałem za sobą sympatię i solidarne poparcie młodych, a moja działalność wyróżniała się znacznym rozmachem. Zrewanżowano mi się dość połowicznie w pół roku później z okazji świętecznego numeru na Boże Narodzenie. Starzy tym razem dopilnowali, aby na łamach pisma nie było nadmiaru młodych i zaprezentowali własnych autorów: S. Grabskiego, W. Folkierskiego, W. Bruchnalskiego i W. Tarnawskiego, z młodszych tylko J. Zadereckiego i M. Piszczkowskiego oraz T. Parnickiego. Dopuszczono także Minicha, który cieszył się względami Tarnawskiego. Wśród takiego kontredansu płynęły miesiące, raz po raz przerywane coraz gwałtowniej pęczniejącym rozdarcie wewnętrzny w partii [...]

*

*

*

W redakcji niepodzielnie panowała atmosfera młodego pokolenia. Klimat był miły, pełen werwy, bezpośredniości i szumiącej młodości. Starsi byli całkowicie podporządkowani temu klimatowi i nie posiadali dość

siły czy odwagi, aby mu się przeciwstawić. Kierownictwo było bezsilne, ponieważ zespół utrzymywał wysoki poziom, a równocześnie żywy, ofensywny ton pisma. Naszym cenionym i popularnym w gronie redakcyjnym kolegą był Marian Minich, świetny recenzent malarstwa, a równocześnie, o czym wiedzieliśmy, hołdujący przekonaniom radykalnie lewicowym, a jak podejrzewaliśmy, nawet komunistycznym. Nie naruszało to w niczym sympatii, jaką darzyliśmy naszego wybitnego i zdolnego kolegę, udzielając bez ograniczeń jego wypowiedziom długich szpał dziennika [...]

Jakby dla równowagi współpracował z redakcją Henryk Łubieński, który pochodził z hrabiów i był jedynym wśród nas przedstawicielem autentycznej arystokracji. W rzeczywistości reprezentował typ stale niedożywionego literata, poszukującego ciągle choćby skromnego zarobku z wierszówek dziennikarskich. Publikował codziennie felietony, podpisywane kryptonimem „rykski”. Nie braliśmy mu za złe jego błękitnej krwi, chociaż w redakcji panowały pod tym względem niedwuznaczne poglądy, i nie ulegaliśmy w tej dziedzinie snobizmowi. Radzymiński, który także miał coś pośrednio wspólnego z utytułowaną rodziną, wysłuchiwał często złośliwych i cierpkich uwag na ten temat. Redakcja składała się z młodych ludzi wywodzących się ze sfer biednych, częściowo robotniczych, częściowo rzemieślniczych i mieszczańskich. Pamiętam, że ojciec Ulanowskiego był bodaj majstrem w przemyśle naftowym, Pańczaka szewcem albo krawcem, Starzewskiego stolarzem w politechnice lwowskiej.

Nie hołdowaliśmy również — wbrew powtarzanym później opiniom — sympatiom dla faszyzmu: wręcz przeciwnie, ocenialiśmy go krytycznie, często w polemice prasowej piętnowaliśmy grupę Mejbauma jako faszystowską, upatrując w niej cechy naśladowe dosłownie faszystowskie poglądy i manery oraz podnosząc na tym tle zarzuty przeciw „Zespołowi Stu”. Nie byliśmy co prawda także entuzjastami demokracji, szczególnie parlamentarnej, a już w żadnym razie wielopartyjnej. Ale mimo to „Kurier Lwowski” występował jako rzecznik obrony różnych innych partii, ilekroć były one zagrożone przez terror lub naciski rządowe. Na pogrzebie pos. Hermana Diamanda z PPS, który w tym czasie właśnie umarł, pojawili się reprezentanci endecji i innych pokrewnych grup. Popieraliśmy przywódcę lwowskiej PPS, Szczyrka, w jego bojach z sanacją. Na łamach „Kuriera” wypowiadał się stale Stanisław Grabski, który był jak najbardziej przeciwny i krytyczny w stosunku do wszelkiego rodzaju faszystowskich tendencji w partii i w innych środowiskach.

*

*

*

W grudniu 1930 r. powołany został gabinet Walerego Sławka, w którego skład wchodził: Bronisław Pieracki, Felicjan Sławoj-Składkowski,

August Zaleski, Józef Piłsudski jako minister spraw wojskowych, A. Michałowski, Sławomir Czerwiński, Jan Pełczyński, Aleksander Prystor, Norwid Neugebauer, Leon Kozłowski, Ignacy Boerner i Ignacy Matuszewski, czyli elita obozu piłsudczykowskiego, oparta wtedy już na większości w Sejmie, uzyskanej w wyborach odbytych w warunkach wyraźnego terroru i nacisku.

Ze strony zwolenników obozu rządzącego odezwały się w tym czasie głosy wzbudzające największe zdumienie i powodujące wśród nas tym większy sprzeciw. Sławoj-Składkowski jeszcze na wiecu przedwyborczym we Lwowie w r. 1930 powiedział m. in.: „Sumieniu naszemu odpowiada tworzenie takiego jutra Polski, ku któremu prowadzi ją geniusz marszałka Piłsudskiego. Ja państwu innej gwarancji nie mogę dać ponadto, że to wszystko zrobi geniusz marszałka Piłsudskiego”. Zdzisław Stahl, komentując tę wypowiedź w „Kurierze Lwowskim”, przypomniał przy tej okazji niedawno ogłoszone wywody Sieroszewskiego, który zapewniał, że po śmierci Piłsudskiego grozi Polsce całkowita zagłada. Stahl kończył tę uwagi: „Najoptymistyczniej licząc i najlepiej życząc premierowi Piłsudskiemu, jakże krótką przyszłość wroży ten sędziwy pisarz państwu polskiemu”.

Innym razem — po wyborach — Cat-Mackiewicz w wileńskim „Słowie”, już po Brześciu, na wiadomość o wyjeździe Piłsudskiego na odpoczynek na Maderę pisał, jak następuje: „W wyjeździe Piłsudskiego na Maderę widzę troskę historyczną o przyszłość Polski. Jest to jego próba, co będzie z tą Polską, którą stworzył 6 sierpnia 1914 r. i 13 maja 1926 r., kiedy jego nie stanie. Jest jakaś piękna nadludzkość w tej próbie, próbę tę dyktuje wspaniałe, heroiczne poczucie odpowiedzialności za przyszłość Polski. Ta turystyczna wycieczka na jakąś wyspę Atlantyku jest jednym z najbardziej głębokich i ciekawych kryzysów w polskiej historii współczesnej”. Stanisław Stroński na łamach „Kurierza Lwowskiego” zauważył wtedy na marginesie tych majaczeń: „Usposobienie w obozie rządzącym jest nad wyraz pogodne i wręcz nurza się w błogości. Polotu nie można odmówić tym wynurzeniom. Są one wyrazem radosnego upojenia. Radujmy się, gdy jest, radujmy się, gdy go nie ma. Jesteśmy wszechwładni”.

Cat-Mackiewicz w nieopanowanym — jak zwykle — roznamietnieniu i niekontrolowanym zacietrzewieniu celował w tym czasie w różnych zaskakujących sformułowaniach, które z kolei spotykały się z równie stanowczymi ripostami. Pewnego razu, na marginesie procesu Czechowicza, Cat zagalopował się: „Dziś w Polsce — napisał — nie ma konstytucji 17 marca, dziś w Polsce obowiązuje marszałek Piłsudski”. Stanisław Stroński replikował: „Myśli królewskie p. Cat-Mackiewicza, których nie

snuć się zaczęła w Nieświeżu, są i po trzech latach zarazem i niedojrzałe, i nieświeże”.

Innym razem Cat-Mackiewicz napisał w swoim „Słowie”: „Brześć był walką z socjalizmem w pierwszym rządzie. Toteż jeżeli Brześć będziemy rozpatrywali z punktu widzenia finansowego, to rzeczywiście mógł on pożytcze [francuskiej dla Polski — przypis mój] raczej pomóc, niż zaszkodzić. Kraje, które zwalczają u siebie socjalizm, zasługują na większe finansowe zaufanie, niż kraje, które mu ulegają”. Stanisław Stroński odpowiedział na to dowcipnie na łamach „Kuriera”: „Tylko czekać, jak p. Targowski ze swej placówki pożyczkowych starań w Paryżu zacznie telegrafować: są trudności, szybko drugi Brześć, a będzie pożyczka”.

Władysław Tarnawski innym razem także w „Kurierze” napisał o Mackiewicz: „Z dwójga złego lubimy zawsze przeciwników jawnych i szczerych, choćby gwałtownych, a nie przyczajonych i obłudnych. Z tego powodu cenimy w prasie sanacyjnej p. Mackiewicza ze »Słowa« wileńskiego. Jest czcicielem knuta, ale to jasno mówi. Jest germanofilem, ale nie udaje wroga Niemiec”².

Brześć nie schodził ze szpalt naszego pisma. Informacje o nim były skąpe, bo bardzo ograniczone przez cenzurę, ale zestawialiśmy wszelkie, najmniejsze, nawet pośrednie wzmianki dotyczące tej sprawy. Korespondentem warszawskim naszego pisma był wtedy Hieronim Wierzyński, brat Kazimierza, poety olimpijskiego, jeden z czołowych, ówczesnych dziennikarzy warszawskich, który w czasie II wojny zginął śmiercią męczeńską w Majdanku. Drugim korespondentem „Kuriera” była Zofia Osbergerowa, również doświadczona, znana i ceniona sprawozdawczyni sejmowa [...]

Jesienią 1931 r. zaczął się proces brzeski. Poświęcaliśmy mu całe strony pisma, ograniczając wszystkie inne informacje. Ogłaszaliśmy przebieg rozprawy, głosy prasy i wszystko, co się z tą sprawą łączyło w tym czasie. Brześć wywoływał olbrzymie zainteresowanie całej opinii publicznej i pismo uwzględniało te nastroje w najszerszej mierze.

Życie jednak biegło własnymi torami. Znajdowało to wyraz na łamach pisma. Było żywą kroniką wydarzeń, nie ograniczającą się tylko do no-

² Stanisław Mackiewicz, redaktor wileńskiego „Słowa”, zabłysnął w Polsce przedwojennej jako doskonały, dynamiczny publicysta. Natomiast nie był nigdy dobrym dziennikarzem i można go zakwalifikować w tej dziedzinie do słabszych pozycji w dziennikarstwie polskim. Pisma redagowane przez S. Mackiewicza-Cata, zarówno wileńskie „Słowo”, jak londyńskie „Lwów i Wilno”, były wyjątkowo słabo i nudnie redagowanymi pismami, w których jedynym wartościowym elementem były zawsze artykuły Cata. Pisma te czytało się i poszukiwało wyłącznie dla tych właśnie artykułów, ponieważ cała reszta nie przedstawiała większej wartości, a z punktu widzenia dziennikarskiego była nieudolna i słaba, a w najlepszym wypadku przeciętna.

towania faktów. Komentowaliśmy co najmniej najważniejsze wśród nich i podejmowaliśmy raz po raz drapieżne polemiki. Nie ulega wątpliwości, że dla badacza owych lat we Lwowie „Kurier Lwowski” przedstawiać będzie zawsze szczególnie cenne i bezpośrednie źródło, odtwarzające ówczesny okres ze szczególną pasją i autentycznością [...]

*

*

*

Ale obok politycznych, burzliwych wypadków działały się także rzeczy zwyczajne i codzienne. Tuż przed służbą wojskową w 1929 r. wziąłem udział w rajdzie automobilowym o puchar „Lwowskiego Kuriera Porannego”, ufundowanego przez Witolda Czartoryskiego. W rajdzie uczestniczyło 16 wozów, które prowadzili znani i popularni automobiliści z Małopolskiego Klubu Automobilowego. Komandorem rajdu był Gubrynowicz, uczestniczyli m. in.: Gawel na austro-daimlerze, jechały trzy lancie z Nowickim, Halimą i Marguliesem, trzy bugatti z Szwarzsteinem, Boguckim i głośnym już wtedy Hemarem, Romer prowadził alfa-romeo, Kaczkowski stejera, Sommerstein buicka. Ja jechałem z Gawłową na citroenie. W drodze Gawłowa, a ja wraz z nią ulegliśmy kraksie, na szczęście bez ofiar. Przebyliśmy piękną trasę przez Stryj — Dolinę — Kałusz — Stanisławów — Jabłonicę — Peczenizyn — Kołomyję — Horodenkę — Uścieczko — Zaleszczyki — Nowosiółki — Okopy św. Trójcy, gdzie byliśmy na granicy radzieckiej, naprzeciw wsi Zwanice i Lachowicze, następnie przez Iwanie — Puste — Czortków — Kopyczyńce — Tarnopol wróciliśmy do Lwowa. Oprócz mnie z ramienia redakcji wziął udział w rajdzie J. Bajsarowicz. Była to jedna z najbardziej malowniczych moich wypraw, którą obszernie opisałem na łamach pisma.

Po raz drugi odbyłem podobną podróż w lipcu 1931 r. autobusem *morris commercial*, z dużą grupą dziennikarzy z całej Polski. Atrakcyjność tej wyprawy przez Podole polegała m. in. na tym, że wóz prowadził Murzyn Richard Adovelle z Martyniki, b. porucznik armii francuskiej, z którym w czasie podróży zaprzyjaźnili się wszyscy uczestnicy wycieczki.

Z tego okresu pamiętne były także lwowskie bale i zabawy, a wśród nich urządzane przez prasę i bale młodzieży w Domu Techników. Istniał zwyczaj, że po ważniejszych balach ukazywały się w prasie sprawozdania, w których wymieniano co najmniej kilkadziesiąt pań, dodając w nawiasie rodzaj sukni, jaką na balu czarowały partnerów. W czasie karnawału ukazywał się codziennie w „Kurierze Lwowskim” kalendarzyk zabaw, obejmujący co najmniej kilkadziesiąt pozycji. Posiadaliśmy monopol na to rejestrowanie karnawałowych uciech, co zwiększało popularność pisma. Wykazy były imponujące i świadczyły, że pomimo niełatwej sytuacji politycznej werwa nie zamarła w narodzie. W Domu Techników

zbierała się na coroczny bal najdorodniejszą młodzież i odbywała się zabawa z zachowaniem wszystkich reguł towarzyskiego regulaminu [...]

*
* - *

Na łamach „Kuriera” rozwijałem tymczasem nieustanną akcję publicystyczną. Prowadziłem wtedy przegląd prasy, w którym podejmowałem polemiki głównie z pismami sanacyjnymi, a oprócz tego obszernie referowałem sprawy ukraińskie na podstawie ukraińskiej prasy. W ten sposób posiadałem jak gdyby własne, odrębne dwie trybuny na łamach pisma, z których mogłem codziennie przemawiać. Od czasu do czasu pisałem także artykuły. Równocześnie zajmowałem się działem całego życia społecznego i politycznego, zamieszczając z niego relacje. Do mnie także należały sprawozdania z Rady Miejskiej, a później Przybocznej.

*
* *

Rada Przyboczna komisarzy rządowych była terenem gwałtownych walk politycznych i moje sprawozdania zajmowały się głównie tą częścią działalności Rady. W związku z tym doszło do konfliktu z głośnym wówczas rzecznikiem lwowskiej sanacji Zdzisławem Strońskim. Był to człowiek jeszcze młody, niewiele starszy ode mnie, którego brat był w swoim czasie działaczem Młodzieży Wszechpolskiej i moim przyjacielem, ale później poświęcił się stánowi duchownemu. Natomiast Zdzisław Stroński będąc piłsudczykiem, dzięki koneksjom w obozie Piłsudskiego uzyskanym przez żonę, aktywną i zasłużoną uczestniczkę akcji legionowej, zaczął odgrywać zupełnie szczególną rolę w okresie BBWR. Skupiał w swoim ręku równocześnie co najmniej kilka różnych czołowych funkcji, ponieważ był zarówno m. in. posłem, wiceprezesem BBWR, jak wiceprezesem Towarzystwa Szkoły Ludowej i znacznej ilości innych organizacji i instytucji, aż w końcu narzucono go Galicyjskiej Radzie Oszczędności. Uznaliśmy, iż przebrała się miarka, ponieważ Kasa była instytucją wyłącznie gospodarczą i finansową, a Zdzisław Stroński nie posiadał w tej dziedzinie żadnych fachowych kwalifikacji. Napisałem wtedy artykuł pt. *Cudowne dziecko BB*, w którym m. in. wytknąłem, że Stroński w latach wczesnej młodości był działaczem endeckim i swoje wysokie szczyble w sanacji zawdzięcza nieuzasadnionym okolicznościom. Z. Stroński nadesłał sprostowanie, że endekiem nigdy nie był, ale wykazałem mu na podstawie jego własnych stwierdzeń zawartych w tym sprostowaniu, że się myli, i zarzut swój podtrzymałem.

W kilka dni po moim komentarzu odbywało się posiedzenie Rady Przy-

bocznej, gdzie Stroński zajmował również wysokie stanowisko. W czasie posiedzenia podszedłem do stołu prezydyjnego, aby otrzymać tam jakiś dokument, i wtedy Stroński zwrócił się do przewodniczącego Irzyka, żądając, aby zakazał mi opuszczać ławę dziennikarską i zbliżyć się do stołu prezydyjnego. Uznałem to za obrazę w stosunku do mnie jako dziennikarza i posłałem Strońskiemu sekundantów, wszczynając w ten sposób sprawę honorową. Przybrała ona ogromne rozmiary, ponieważ Stroński zakwestionował moją zdolność honorową. Opierał się w tym zarzucie na tzw. jednostronnym protokole, spisany przeciw mnie w Katowicach w r. 1926, we wspomnianej tu już mojej sprawie przeciw współpracownikowi dziennika „Polonia” Fallowi. Protokół taki rzeczywiście istniał, spowodowany zaniedbaniem ze strony moich ówczesnych zastępców w tej sprawie, a w szczególności T. Bieleckiego. Ponieważ wyjechałem wtedy z Katowic wobec nagłej utraty pracy w „Gońcu Śląskim”, załatwienie sprawy z Falem powierzyłem moim zastępcom, a ci nie dopełnili jakichś formalności i strona przeciwna uznała to za podstawę do spisania protokołu jednostronnego. Kto miał taki protokół, nie mógł być stroną w następnych sprawach honorowych.

Dość powiedzieć, że w zwołanym w mojej sprawie ze Zdzisławem Strońskim sądzie honorowym celem stwierdzenia stanu formalnego sprawy przewodniczącym tego sądu był b. premier prof. Kazimierz Bartel, a jednym z członków — dowódca okręgu wojskowego gen. Litwinowicz. Warunkiem unieważnienia protokołu jednostronnego było wytoczenie sprawy honorowej przeze mnie winnym zaniedbania spośród moich zastępców. Ponieważ zawinił Tadeusz Bielecki, mój ówczesny najbliższy przyjaciel, nie było innego wyjścia i musiałem posłać mu zastępców. Bielecki mieszkał wtedy w Warszawie. Następnym warunkiem unieważnienia protokołu, zgodnie z kodeksem Bożewicza, było odbycie pojedynku z winnym zaniedbania. Innego sposobu kodeks nie przewidywał w takim wypadku. Wobec tego przygotowaliśmy starannie pojedynki, Bielecki zjechał do Lwowa, udaliśmy się autami za miasto do jakiegoś zacisznego lasu i tam w asyście przewidzianych świadków i lekarza — wedle wszelkich przepisów regulaminu — wymieniliśmy między sobą strzały. Obaj strzelaliśmy oczywiście w górę, aby nie dopuścić do jakiegokolwiek wypadku, ponieważ w całym tym niezwyklej spotkaniu chodziło wyłącznie o dokonanie formalności i spisanie z pojedynku protokołu potrzebnego do przedstawienia go zastępcom w moim zatargu ze Strońskim. Tak się też stało i sprawa ze Strońskim dobiegła końca, zresztą polubownie, przy pomocy wzajemnych oświadczeń [...]

Nie brakowało nam w redakcji także humoru. W numerze prima-apriliowym w 1931 r. zamieściliśmy kilka zmyślonych wiadomości: że Mejsbaum zostaje komisarzem rządowym miasta, a jego zastępcami po zrze-

czeniu się mandatów poselskich: Stefan Mękowski i Ignacy Jaeger, poseł sanacyjny, właściciel drukarni. W tym samym numerze podaliśmy wiadomość, że Lew Dawydowicz Bronstein-Trocki w przejeździe z Konstantynopola przez Bukareszt zatrzyma się w drodze do Berlina we Lwowie i udzieli tu prasie wywiadu.

Dziennik rozwijał się bez przerwy. Uruchomiliśmy różne działy, wśród których cotygodniową atrakcją stał się żywy i ciekawy dodatek naukowo-literacki, radiowy i uzdrowiskowy. Pod redakcją Tadeusza Zadereckiego i Teodora Parnickiego zaczął ukazywać się, zresztą mniej interesujący, dodatek pod pretensjonalnym tytułem *W gościnie u muz.* Do recenzji muzycznych zaprosiliśmy Józefa Weleszczuka, wytrawnego znawcę muzyki, chociaż poza tym urzędnika Miejskiej Kasy Oszczędności. Stałą rubryką były „Wycinanki literackie” w opracowaniu Zbigniewa Pappa.

*

*

*

Jednym z nie kończących się i już niemal tradycyjnych problemów Lwowa był w tych latach coroczny kryzys teatralny. Dyrektorzy teatru miejskiego zmieniali się jak w kalejdoskopie, odchodząc wśród burzliwych kontrowersji, połączonych z namiętnymi dyskusjami publicznymi w prasie i w Radzie Miejskiej. W ten sposób kolejno przewijali się w tym okresie przez teatr m. in.: Teofil Trzciński, Henryk Barwiński ze swoim współnikiem Zarembą, po czym przyszedł Leon Schiller. W sprawach tych kryzysów rozpisywaliśmy ankiety, zapraszając do udziału w nich wszystkich czołowych lwowskich znawców tego tematu.

W lecie 1931 r. Schiller ogłosił na łamach warszawskiego „Robotnika” obszerny i bojowy artykuł, w którym zażądał zerwania w teatrze „z szablonami teatru burżuazyjnego” i wysunął postulat zrealizowania „postaci klasowej artystycznych pracowników scen polskich”. „Muszą oni — pisał Schiller — wybrać jedną drogę: po lewej albo po prawej stronie barykady społecznej. Kryzys obecny nie jest koniunkturalny — pisał dalej — i nie przeminie, lecz ponad wszelką wątpliwość jest kryzysem strukturalnym i w ostatecznej konsekwencji doprowadzić musi do zmiany panującego ustroju gospodarczego i społecznego”.

Tendencja i ideologiczna podbudowa tego wystąpienia nie pozostawiała żadnych złudzeń. Antoni Słonimski w „Wiadomościach Literackich”, reprezentujących co najmniej daleko posunięty liberalizm w sprawach kultury, a posądzanych o sympatie ideologiczne dla komunizmu, napisał wtedy: „Cały list Schillera z tym dziecinny »zrzczeniem inteligenckiego bagażu« i tymi »kartelami« i »kolektywami«, terminologią i słownictwem zapożyczonym z trzeciej, lewej ręki, w zastosowaniu do naszych stosun-

ków czyni wrażenie albo wcale dobrze podrobionej parodii albo co gorsza snobizmu". Jan Lorentowicz wystosował list do prezesa ZASP Śliwińskiego, w którym gwałtownie protestował przeciw wypowiedziom Schillera. Demokratyczny, lwowski „Wiek Nowy”, redagowany przez Bronisława Laskownickiego, pisał w tej sprawie: „Odsłonił artykuł w całej jaskrawości właściwe oblicze p. Schillera, wyznawcy ewangelii komunistycznej. Zaniepokojona wystąpieniem p. Schillera opinia szerokiego, kulturalnego Lwowa zapytuje słusznie, czy wobec tak manifestacyjnego zadeklarowania się p. Schillera w charakterze propagatora ideologii komunistycznej uczynione będzie, co należy, aby uchronić scenę polską we Lwowie przed wpływami takiej propagandy”. Wśród tych głosów ukazał się również mój artykuł w „Kurierze Lwowskim” pt. *Zlikwidować Schillera*. Napisałem w nim: „Pal diabli! Wolimy gorszy teatr niż rewolucję komunistyczną, do której przygotowuje Polskę pan Schiller ze sceny”.

Pikantnym szczegółem w tej sprawie była okoliczność, że stanowiska Schillera i jego pozycji w teatrze bronili we Lwowie Mejbaum i Męcarski na łamach rządowego „Słowa Polskiego” i z trybuny Rady Przybocznej. Sympatie dla Schillera nie były jednak wyjątkiem w „Słowie Polskim”. Jan Zahradnik w artykule pełnym uniesienia o poezji Leona Kruczkowskiego, opublikowanym już w okresie redakcji Mejbauma i Męcarskiego, napisał, że Kruczkowski jest twórcą, który „w słowie wypowiada odwieczną tęsknotę ludzką za prawdą, dobrem i pięknem”. Ta pochwała pisarza, reprezentującego już wówczas zdecydowaną świadomość rewolucyjną i radykalnie społeczną, była na łamach antykomunistycznego „Słowa Polskiego” co najmniej zaskakująca. Czy rodziła się ona ze świadomego poczucia łączności z prądami radykalnymi, czy też wynikała po prostu z niepojętego chaosu ideologicznego, którym wybitnie wyróżniali się obaj główni rzecznicy faszystowskiego „Zespołu Stu” — trudno dzisiaj dociec. Wówczas ten ich bigos myślowy nie budził u nikogo ani zaufania, ani szacunku.

Schiller w niedługi czas później ustąpił ze stanowiska zajmowanego w teatrze lwowskim. Ten incydent — w perspektywie wielu lat — ilustruje jednak bardzo wymownie zamieszanie ideologiczne w ówczesnej Polsce, w którym rzecznicy przeciwstawnych kierunków i ówczesnych obozów zajmowali nieraz najmniej spodziewane stanowiska, sprzeczne z etykietami, jakie wyróżniały ich postawę polityczną. W tym wypadku Słonimski i Laskownicki, dwaj przedstawiciele kierunku liberalno-demokratyczno-postępowego, w moim towarzystwie wystąpili bardzo stanowczo przeciw hasłom Schillera, a poparli je rzecznicy faszystowskiego skrzydła sanacji. Moje w tej sprawie stanowisko — czego nie mogę nie przyznać — było przynajmniej zgodne z zasadniczą linią polityczno-ideową, której hoł-

dowałem, aczkolwiek w świetle znacznie późniejszych wydarzeń było ono zbyt pochopne, na pewno nietrafne, niesłuszne i pozbawione wizji nadchodzących czasów. Nie posiadali jej jednak także wybitni reprezentanci obozu postępowego. Schiller w chórze tych głosów wykazał — jak się okazało — najtrafniejszy instynkt polityczny, chociaż był człowiekiem tylko teatru [...]